

Magdalena Lipińska

I miejsce w X Międzyszkolnym Konkursie Małych Form Literackich

Flancujemy kartofelki na Zalipiu

Na dworze zapał nieznośny kur. Przy akompaniamencie swoich towarzyszek, gdaczących wesoło, denerwował mnie coraz bardziej. Wstałam, myśląc tylko i wyłącznie o tym, aby powiedzieć rodzicom o moim planie na zrobienie z niego rosółu, w najbliższą niedzielę. Było to strasznie nieznośne ptaszysko! Co rano doprowadzało mnie do szału. A do tego pan z Polskiego Radia od dobrych dziesięciu minut nawijał z kuchni o „niesłychanej zbrodni amerykańskich imperialistów, nasyłających na Polskę pasiastych dywersantów – stonki”. Właśnie, ziemniaki! Kompletnie zapomniałam o sadzeniu kartofli! Przebrałam się w swój trochę podniszczony ortalionowy płaszczyk i zabrałam się za sprzątanie mojego niewielkiego pokoiku. Wtedy usłyszałam krzyk mamy:

– Elżuniu! Pomóż mamusi!

Zbiegłam po schodach, zastanawiając się nad swoim imieniem. Dlaczego akurat „Elżbieta”? Innych imion nie było? Mama koniecznie musiała podążać za trendami, i teraz wszyscy mówią do mnie: „Elżunia”. No cóż...

– Co się stało? – zapytałam, stając obok naszego najnowszego nabytku, dumy całej rodziny – telewizora.

Przez chwilę miałam nawet ochotę go włączyć, aby dowiedzieć się czegoś więcej o wożaczach kosmicznych dzielnego, radzieckiego astronauty, ale o tej porze podobno na to za wcześnie. Lot w kosmos będzie musiał się odbyć bez mojego udziału, westchnęłam, posyłając wściekłe spojrzenie kogutowi, który stał na płocie i nadal darł się wniebogłose, jakby nie wiadomo co miał do powiedzenia. Jednak nie na tyle głośno, żeby ledwo żywy wujcio Stasio, leżący na ławie, choćby drgnął. Miał na sobie ubłocone buty, rozchełstana, niezbyt świeżą, białą koszulę, którą założył w sobotę na zabawę w okolicznej remizie strażackiej. Ostatnim razem widziałam go w takim stanie cztery lata temu, kiedy wygrał dwa litry bimbru, pędzonego w pobliskiej stodole przez pana Zbynia, w wyścigu na zbieranie stonki. Uzbierał trzy wiadra żuka z *Kolorado*. Ale skąd wytrzasnął telewizor? Chyba miał po czym odpoczywać...

Przyniosłyśmy z mamą derkę z góry i go przykryłyśmy. To wszystko, bo za chwilę miałyśmy być w polu i pomagać tacie w sadzeniu ziemniaków.

Jak zwykle udałyśmy się na umówione miejsce, czyli koło rozłożystego dębu. Nie jestem pewna, czy sukienka, którą założyła mama, trochę zresztą zużyta, ale kupiona na jarmarku w Staszowie, i całkiem elegancka zapaska, na wierzch, nadają się do pracy fizycznej. Mama jednak wie, co robi, bo do głupich nie należy, tylko do Koła Gospodyń Wiejskich. Wzrok także ma niezawodny. Od razu wypatrzyła sąsiada, pana Wiśniewskiego, lansującego się po okolicy w swojej nowiutkiej syrence (rocznik 57). Tylko pokręciła głową, widząc, jak bardzo zadziera nosa jej sąsiad, ale w głębi duszy liczyła, że da jej trochę, chociaż przez chwilę, nią pojeździć. W końcu po coś zrobiła sobie prawo jazdy! Wprawdzie na

traktor, ale czy to wielka różnica, rodzice do tej pory i tak ani samochodu, ani traktora nie mają.

Po chwili zjawił się tata, jadąc w wozie zaprzężonym w kasztanek Krystynę, częściej jednak wołano na nią „Krycha”. Wsiadliśmy na kozła i, śmiejąc się z zabawnych anegdotek taty o kolegach, pojechaliśmy na pole graniczące z pobliskim PGR-em. Zaczęliśmy sadzić nasze pyrki. Kiedy wybierałam najładniejsze sztuki, tata podśpiewywał sobie piosenkę wymyśloną kilka dni temu. Leciła mniej więcej tak: „Dziś w Zalipiu jest dzień wielki, flancujemy kartofelki”. Wpadała w ucho i już po chwili wszyscy ją śpiewaliśmy. Była lepsza niż najnowszy hit: „Jedziemy autostopem”!

Wieczorem zmęczeni wróciliśmy do domu. Mama ze swojej ukochanej spizarni – ziemianki wyjęła kaszankę i podgrzała ją na piecu. Na talerzu znalazła się także kapusta kiszona według zaleceń towarzysza Gomułki. Kiedy zabieraliśmy się za jedzenie, a tata wstał, żeby włączyć telewizor, zgasło światło. Sieć nie wytrzymała przeciążenia. Westchnęliśmy zawiedzeni.

Zagrzebałam się pod swoją pierzynę, a obok mnie położył się rudy kot Mietek. Słuchając kociego mrużenia zasnąłam.

W nocy śniły mi się jakieś wysokościowce, a między nimi gigantyczne samochodowe kolejki. Gdzieś w tle startowała rakieta. Niebo pokryło się czerwoną łuną. Wokół latały pyrki, jakby siła grawitacji ich nie dotyczyła. „Dziś w Zalipiu jest dzień wielki, flancujemy kartofelki”, śpiewały chórem. To był naprawdę dziwny sen. Rano ciężko mi było otworzyć oczy. Właściwie to wstałam dopiero po tym, jak ze smutkiem zdałam sobie sprawę, że brakuje piana koguta. Niestety, nie zobaczyłam skromnego, wiejskiego pokoiku na poddaszu...

Natasza Świątek

III miejsce w X Międzyszkolnym Konkursie Małych Form Literackich

Ach, jak pięknie...

Biegłam. Ustyszałam za sobą krzyk, który później zmienił się w wołanie i stukanie. Obudziłam się, otworzyłam oczy i zobaczyłam stojącą w drzwiach mamę. Na tacy niosła śniadanie. Składało się z mleka, dużej kromki chleba posmarowanej dżemem i jabłka.

– A mogę nutellę? – spytałam.

– Co możesz? Co to – nutellę?

– Mamo... Pierwszy kwietnia już był...

I gdy powiedziałam ostatnie słowo, zdałam sobie sprawę, że nie jestem w swoim pokoju. Spojrzałam w okno. Rany! Nawet nie w swoim domu! Nie, nie zjadłam śniadania, tylko wyskoczyłam z łóżka i wybiegłam rozejrzeć się po moim – nie moim mieszkaniu. I do tego na wsi! Wbiegłam do kuchni i zaniepokojona spojrzałam na rodziców – jak zwykle siedzieli i jedli

śniadanie, a z radia sączyła się jakaś ludowa muzyka, och, ta ich ulubiona Jedynka. Gdy spytałam, gdzie mój smartfon i tablet, spojrzeli na mnie zdziwieni, a właściwie mama spojrzęła, bo tata nadal tkwił z nosem w gazecie.

– Może ty nie idź dzisiaj do szkoły – powiedziała mam z troską w głosie. – Mówisz tak dziwnie. Czy ty przypadkiem nie masz gorączki? To pewnie przez tę waszą fantastykę naukową. – Spojrzała z wyrzutem na męża. – Wiedziałam, że to nic dobrego!

Tata, wywołany do odpowiedzi, z wrażenia zepchnął szklankę ze stołu, a jej zawartość wylała się – na podłogę z szerokich desek! Nocny remont czy co? Sięgnęłam machinalnie po białą chustę wiszącą na ścianie. Mama zaczęła się na mnie wydzierać. Mówiła coś o jakiejś makatce, że to rodzinna pamiątka i tak dalej. Wtedy zdałam sobie sprawę, że trzymam coś, co nie było zwykłą ścierką, lecz taką wiejską, haftowaną chustą, którą, jak wywnioskowałam, mama nazwała makatką. Od razu przeprosiłam i poszłam się przebrać.

W szafie jednak zastałam tylko kilka sukienek, kraciatych koszulek i materiałowych spodni. A gdzie moje dżinsy?! Do siódmej zostało tylko 20 minut, nie miałam czasu na zastanawianie się. Złapałam granatowy mundurek, założyłam go i... tyle. Pasował. Nie wiedziałam, gdzie mam plecak. Jak tak, to tak – pomyślałam – chcecie się bawić, proszę bardzo. Udawałam więc, że nic się nie dzieje, i wyszłam na dwór. Było ciepło. Na Polskę to wręcz gorąco! Upał. Było ze dwadzieścia stopni, może więcej, bo nigdy nie byłam dobra w szacowaniu temperatury.

– Gdzie ty idziesz? Jeszcze włosy! – krzyknęła moja siostra, trzymając grzebień i dwie gumki.

Wróciłam więc do łazienki, a ona... nie uwierzycie! Zrobiła mi dwa warkocze! Nie wyglądałam w nich idiotyczne, raczej śmiesznie. Zaczęłam się śmiać, na co oczywiście domownicy dziwnie zareagowali. Dziwnie, czyli wepchnęli mi do rąk tor-ni-ster i odprowadzili na pobliski przystanek. Co prawda nie za bardzo wiedziałam, którym autobusem mam jechać, ale na szczęście podeszła do mnie inna dziewczynka i powiedziała:

– O! Cześć, Anka! Słyszałaś, że ma przyjechać do Sieradza cyrk? I nie uwierzysz! Mam trzy bilety! Dla mnie, dla ciebie i dla mojej mamy! Cieszysz się?

Powiedziała to tak szybko, że prawie nic nie rozumiałam. Ale cyrk? Naprawdę? Miałam jechać dzisiaj z klasą na zajęcia interaktywne. Robotyka byłaby o wiele ciekawsza od jakiegoś cyrku! Ale, by nie zasmucić mojej koleżanki, udawałam zadowoloną. Po kilku minutach czekania uznała, że autobus nie przyjedzie, więc trzeba będzie pójść na nogach. Na początku szłyśmy poboczem, aż wreszcie natknęłyśmy się na tabliczkę "Sieradz". Później było bardziej skomplikowanie. Chociaż często odwiedzałam to miasto, to pójście samemu do centrum, gdzie znajduje się szkoła, nie było takie łatwe. Kiedy przechodziłyśmy obok jednego z domów, usłyszałyśmy w radiu stojącym na parapecie wiadomość o jakimś Gagarinie: „Jurij Gagarin wrócił na Ziemię trzy minuty temu. Jednak to nie koniec naszych kosmicznych podróży. Radziecki wywiad poinformował, że Amerykanie planują lot załogowy w kosmos na 20 kwietnia. Czy im się uda? Nie wiemy. Dla Polskiego Radia – Halina Wilczyńska”.

– Jejciu... Ja też bym tak chciała... – powiedziała rozmarzona... Cały czas nie znałam jej imienia!

Spytałam więc, jakby nigdy nic, jak ma na imię. Odpowiedziała patrząc na mnie zdziwiona. Ponieważ widziałam w Internecie kilka sposobów na wybrnięcie z takiej niezręcznej sytuacji, więc wyjaśniłam „że chodziło mi o jej drugie imię”. Tym sposobem dowiedziałam się, że moja znajoma to Halina. Co za matka mogła dać swojej córce takie imię!

W końcu dotarliśmy do szkoły. Wszędzie panował harmider. Uczniowie rozmawiali albo o kosmosie, albo o cyrku. Tylko ja wtedy nie rozumiałam, czemu ludzie tak fascynują się tym cyrkiem. Przecież jest wiele fajniejszych rzeczy. Tak zwane Food trucki, eksperymentaria, kina 5D... Dużo można było wymieniać. A jeżeli to więcej niż 5D, pomyślałam, i jestem w jakimś filmie historycznym? Widz staję się bohaterem? Nie, to jeszcze niemożliwe, przekonywałam sama siebie. Musiałam zebrać myśli. Rano pytałam się o tablet, smartfon... Nikt nie wiedział, co to jest. Rozejrzałam się po sali, w której miałam lekcje, szukając wzrokiem kalendarza. Wisiał na ścianie, tuż obok plakatu ze wzorami matematycznymi i wskazywał datę... dwunastego kwietnia 1961 roku! Tak czy owak przeniosłam się w czasie? Tylko dlaczego akurat do tej daty? Coś mi mówiła, ale nie wiedziałam co – wytężyłam pamięć. – No tak! To oczywiste. Pierwszy lot w kosmos! Tylko czemu akurat...

Dzyń, dzyń, dzyń! – rozległ się dzwonek na przerwę, a wraz z nim – okrzyk dzieci.

Usiadłam na ławce. Nikogo nie było, ale z jednej z sal wydobywał się cichy odgłos przypominający z daleka szum. Zebrała się tam prawie cała szkoła. Na początku nie wiedziałam dlaczego, ale przeciskając się przez tłum uczniów wreszcie doszłam do punktu zainteresowania – radia. O czym w nim mówili? O kosmosie! Wyszłam więc z pomieszczenia, schowałam się w jakimś kącie i rozmyślałam nad tym, jak uciec z tego magicznego, niezwykłego świata zwanego latami sześćdziesiątymi, z kosmicznymi ambicjami. I kiedy już prawie wymyśliłam, podeszła do mnie... moja sąsiadka, nie ta z lat sześćdziesiątych, tylko moja najprawdziwsza sąsiadka!

– Co ty tu robisz? – spytała nie mniej zaskoczona ode mnie.

– To co ty. Próbuję się wydostać – powiedziałam ponuro.

Pocieszyła mnie tak bardzo, że zaczęłam tracić nadzieję. Oznajmiła, że siedzi w tym czasie już kilka dni i nie zapowiada się, by coś się zmieniło. Takim oto sposobem jakoś przebrnęłam przez ten pobyt w szkole. Wróciłam do domu razem z Haliną, ale w domu nikogo nie zastałam. Poszłam więc do sąsiadów. Ich też nie było w domu. I dalej – też nic. Przeszłam obok kilku pustych domów, pukałam do każdego, gdzie tylko się dało. Oby ten film historyczny nie zmienił się w jakiś horror – pomyślałam. Zrezygnowana zapukałam do drzwi małego, zielonego domku. Otworzyła mi jakaś rodzina. Nie! Nie rodzina! Cała wieś! Byli też moi rodzice. Weszłam do środka, gdzie wszyscy sąsiedzi siedzieli tak jak uczniowie w szkole, tylko zamiast wokół radia, wokół jedynej telewizorki. Małeńki ekran przedstawiał jakiegoś człowieka – pewnie Gagarina, domyśliłam się, i raketę. Nie wiem, jak oni w ogóle mogli coś dojrzeć w tym wklęsłym ekranie. Nawet nie było koloru! Usiadłam zmęczona przeżyciami tego dnia, czekając, kiedy wrócę z rodzicami do domu, i zasnęłam.

Nagle gwałtownie się obudziłam. W moim domu, nie było wątpliwości! W 2017 roku. Z nosem w ekranie komputera! Wybiegłam na dwór w piżamie. Było już ciemno. Odańczyłam

taniec zwycięstwa w ogródku i spojrzałam w niebo. Gwiazdy wydawały się być na wyciągnięcie ręki. Zapowiadała się pogodna noc.

– Ach, jak pięknie – wyszeptalam właśnie w momencie, kiedy jedna z gwiazd zaczęła spadać.

Jan Kapłon

I miejsce w szkolnym konkursie literackim na opowiadanie walentynkowe „Walentynki z bohaterem literackim”

Walentynki Kubusia

Czułem, że to będzie wyjątkowy dzień. Problem w tym, że nie wiedziałem jaki. Dopiero po wyrwaniu kartki z kalendarza przypomniałem sobie, że dziś są walentynki.

Ach, walentynki. To moje ulubione święto, święto przyjaźni! Czy to przypadkiem nie moja kolej na uroczysty poczęstunek dla wszystkich przyjaciół? Na garnek miodu! Kompletnie zapomniałem! Co ja zrobię?

Na szczęście w porę przypomniałem sobie, że zaprosiłem gości na 16.00. Na pewno zdążę. Odetchnąłem z ulgą. Tak, mam jeszcze dużo czasu. Usiadłem w fotelu z miodkiem. Jak sobie podjem, to dobrze mi się myśli. Co ja muszę najpierw zrobić? Hmm... Po pierwsze, muszę przygotować smakołyki do jedzenia. Trzeba również zrobić kartki walentynkowe. No i przydałyby się jakieś dekoracje. Rety, to mnóstwo pracy! Jak dobrze, że mam jeszcze dużo czasu...

Podreptałem do ogrodu, by zerwać trochę kolorowych tulipanów. Chyba zjadłem za dużo miodku, bo brzuszek przeszkadzał mi w schylaniu się do grządek. Zmęczyłem się strasznie. Łatwiej mi było wymyślać potrawy na przyjęcie. Mniam, mniam. Będzie tort miodowy, zupa jagodowa z kapką miodku i moje genialne miodowe ciasteczka z kolorową posypką. Aż mi ślinka cieknie. Wszyscy na pewno będą zachwyceni. Jestem przecież najlepszym kucharzem w Stumilowym Lesie.

Nagle zadzwonił dzwonek. Kto to może być? Byłem zły, że ktoś mi przeszkadza w moich rozmyślaniach. Podrapałem się po głowie i ruszyłem otworzyć drzwi. Na beczkę miodu! Stałem jak wryty, bo ujrzałem przed sobą wszystkich moich przyjaciół: Prosiaczka, Kangurzycę z Maleństwem, Tygryską, Królika, Kłapouchego i kochanego Krzysia.

– Moi przyjaciele – rzekłem – ja... nic nie przygotowałem. Nie zdążyłem.

Przyjaciele na chwilę posmutnieli, ale Prosiaczek szybko powiedział, że właściwie to wcale nie są głodni.

– Przecież tak naprawdę chodzi o to, żebyśmy byli razem – dodał Krzyś.

Na te słowa wszyscy uśmiechnęli się – odetchnąłem z ulgą. Kocham moich przyjaciół i oni chyba też mnie kochają.